Janina Łagoda

Wydawałoby się, że w krajowym politycznym rozgardiaszu niewiele sytuacji może zaskoczyć, ale jak się okazuje, składnica karkołomnych pomysłów nie została wyczerpana. Z depozytu skrzętnie korzysta prawa i sprawiedliwa partia, która wedle jej licencjonowanych orędowników nie powinna się obawiać konkurencji, a jednak przewaga zaledwie kilku posłów nad opozycyjnymi partiami w wyborach do Sejmu nie może radować partyjnego guru. Sukces w Senacie okazał się jednocześnie porażką wobec sumarycznej zdobyczy politycznych rywali, co pogłębiło trwogę na warszawskiej Nowogrodzkiej. Tam też chyba zapadła żenująca decyzja o konieczności wzbogacenia urobku skondensowanego w oficjalnym werdykcie Państwowej Komisji Wyborczej.
Taktyczne czyny sztabowców są wprawdzie chronione formułą najwyższej tajności, co zrozumiałe, lecz aby mogły zostać urzeczywistnione muszą opuścić klauzulowane schronienie i poddać się publicznej ocenie, która w tym przypadku jest nader surowa. Ale jedyna to droga weryfikowania owych tajemnych ustaleń. W ostatecznym rozrachunku chodzi przecież o przychylność elektoratu i rzetelność pracy sformalizowanych gremiów sumujących urnowe elektorskie decyzje. Powyborcze wątpliwości należy w pełni uszanować i poddać sądowej ocenie. W przeciwnym razie eskalacja konfliktów będzie nieunikniona. Ich nadmiar zawsze dławił rozkwit Rzeczpospolitej. Oby dzień dzisiejszy został od nich uwolniony. Szanse na spełnienie tego marzenia są niewielkie, a pierwsze plenarne posiedzenia Sejmu i Senatu (12.11.2019 r.) rozwiały wątpliwości co do zamysłów rządzących, a i nie są łaskawe wobec woli suwerena.

Parlamentarne komplikacje

Ogromny kampanijny wysiłek ludzki oraz finansowy rządzącej partii, podcyfrowany pragnieniem wyrazistego pomnożenia dotychczasowego stanu parlamentarnego posiadania przyniósł skromne efekty w relacji do poprzedniego zasobu, jak i wobec aktualnych politycznych aspiracji. Wówczas obydwie izby parlamentu były we władaniu zjednoczonej prawicy. Dzisiaj Senat trafił w ręce opozycji. Kolosalna strata dla partii, ale ożywcza dla demokratyzowania życia publicznego kraju. Różnorodność w polityce jest ważna pod warunkiem, że nie prowadzi do społecznych przesileń, bo to krok ku anarchii. Żywić należy nadzieję, że tak się nie stanie, ale gwarancji nie ma. Nie sposób też skwantyfikować, a tym bardziej komunikatywnie opisać nieodgadnione intencje rodaków. Pozostało więc oczekiwać na bieg wydarzeń z dominantą racjonalnych zachowań. Inna konfiguracja, to tylko sen o mesjanizmie i wyjątkowości Polski oraz Polaków zbytecznie zaprzątający od niepamiętnych lat umysły rządzących, lecz nadal utrzymujący się na stabilnym poziomie fantazyjnych marzeń. Praktyczne czyny jednak zawodzą, zaś romantyzm trzyma się dobrze. Wszystko wskazuje na to, że i tym razem będzie to ułuda, mimo buńczucznych zapowiedzi prezesa rządzącej partii, także tych o dorównaniu dobrobytowi najbogatszych. Zapomniał dodać, że warunkiem zbliżenia się do poziomu ich egzystencji jest powstrzymanie się przez nie rozwoju do chwili, kiedy łaskawie zrównamy się z ich bogactwem. Ułuda granicząca z naiwnością. Nigdy dotąd poziom naszej

egzystencji nie przewyższał przykładowo dobrobytu Niemców, Francuzów… Z drugiej strony prezes w swoich obłych propagandowych publicznych ekspiacjach coraz częściej wspomina o spowolnieniu gospodarczym, które nam zagraża, a w niektórych dziedzinach staje się faktem. Owe sloganowe zawołania prezesa, co najwyżej wzbogacają rupieciarnię nierozważnych myśli, szatkujących naród wedle egoistycznych kryteriów. Na takich fundamentach nie da się zbudować nawet ogrodowej altany.
Polityczne łaknienie prezesa spycha go i jego partię na niebezpieczną drogę usłaną społecznymi waśniami, których rykoszety mają nieobliczalną moc i trafiają również w tzw. ponoć zjednoczony monolit prawicy. Wystarczy spojrzeć na socjalne gesty, które wprawdzie materialnie, lecz wybiórczo łagodzą niektóre sfery biedy, ale jednak generują kontrowersje zarówno w obrębie tych wyróżnionych (vide: inflacja), ale nade wszystko ze strony innych grup społecznych. Źródłem tego paradoksu jest brak spójnego długofalowego, wszechstronnie oraz publicznie przedyskutowanego
i konkretami nasączonego programu wzrostu zamożności społeczeństwa. Selektywne gesty wobec określonych grup elektoratu są niczym innym jak kopaniem rowów w poprzek autostrady społecznego rozwoju.
Ostatnia wyborcza kampania w wydaniu panujących dobitnie to potwierdziła. Wskazała też na merkantylny sposób przysparzania sobie elektoratu przez rządzących. Przekupstwo to wstrętna przypadłość, a jeśli jest dokonywane z użyciem publicznych środków tym bardziej odraża. Znamienita część społeczeństwa dostrzegła tę nieuczciwość i dała temu wyraz w urnowych adnotacjach. Rodacy znają swoją wartość i potrafią realnie oceniać otoczenie, także w kontekście krzywej cyklów ekonomicznej koniunktury.
Sukces okupiony złotówkami, a nie ideą jest bliski pyrrusowemu zwycięstwu (Pyrrus, król Epiru – III w. p.n.e.) i nie wyzwolił pokory w rządzącym obozie. Nadal jest promowana wizja zwycięzców, bez refleksu na powyborcze fakty i społeczną krytykę demoralizujących zabiegów mających ubogacić lichą wygraną. Chyba nastąpiło przytępienie słuchu – coś na miarę irracjonalnego czynu popełnionego na sobie przez Vincenta van Gogha (1853-1890) - ale tamten gest nie był sprokurowany polityką. Wrażliwość na odgłosy suwerena winny uskrzydlać polityków wszelakich opcji. Tak się nie dzieje. Górę bierze kunktatorstwo, egoizm, zgryźliwa małostkowość, sprzedajność etc., a to droga donikąd, bo pozostaje w kontrze do mocarstwowych aspiracji państwa. Stłamszona została empatia, która w prosty, beznakładowy sposób promuje sukces. Rodzi się pytanie: dlaczego politycy tak często zbaczają z tego traktu, tym bardziej że ich chciejstwo nie koreluje z wolą ludu, a to on żywi i broni – nie magnaci. Ten haft z kościuszkowskiego sztandaru winien zawsze przysłaniać oczy dygnitarzy, studząc ich samolubne zakusy, bo pan z chłopa, a nie na odwrót.

Przeciąganie liny

Zwycięzcom daleko od euforii. Niedomogi przyjętego stylu przekonywania społeczeństwa do kreślonych racji obozu władzy są wyraziste. Z tym faktem nie mogą się pogodzić politycy z Nowogrodzkiej i szukają sposobów, które mogłyby korzystnie dla nich skorygować parlamentarne zasoby. Jedna z dróg prowadzi przez nakłanianie parlamentarzystów opozycji do przesiadki na ławy rządzącej partii, co samo w sobie tchnie obrzydliwością, ale dla werbownika to szansa na pozytywną ocenę w partyjnych rankingach i zwykle owocuje przyspieszoną karierą tryskającą złotówkami. Na pierwszy rzut oka metoda zadziwiająco prosta, lecz w szczegółach obustronnie prostacka, bowiem zarówno werbownik, jak i zwerbowany

ignorują wolę suwerena, który na nich głosował. Okazuje się, niestety, że niektórzy deputowani traktują swoich wyborców jedynie jako narzędzie umożliwiające im realizowanie prywatnych celów. A przecież wszyscy z nich, także tzw. niezależni wybrańcy otrzymali legitymację od określonej społeczności, pragnącej mieć swoją reprezentację na Wiejskiej, akceptując przedwyborczy czteroletni program faworyta. Każda wolta z jego strony bez zgody wyborcy jest szachrajstwem, nikczemnością, hańbiącym gestem etc.

Konsekwencje ewentualnej zdrady elektorów wymagają pilnej penalizacji, co najmniej na płaszczyźnie prawa wyborczego. W tej chwili w ręku oszukanego wyborcy pozostaje jedynie okazanie nielojalnemu deputowanemu czerwonej kartki, ale jest to możliwe dopiero w następnej kampanii wyborczej i pod warunkiem, że będzie on ponownie zabiegał o wyborcze głosy. Pamiętać też należy, że w katolickim narodzie odzywa się niekiedy (sic!) podszept przebaczenia bliźniemu wyrządzonych nikczemności chyba tylko po to, aby je kontynuował, jeśli powtórnie będzie upraszał się o łaskę suwerena. Wówczas materialnym dowodem wybaczenia pozostanie głos za ponowną elekcją tego, który wcześniej popadł w niełaskę wyborców. Takie to chrześcijańsko - obywatelskie perpetuum mobile. Oby plątanina moralnych prawideł nie degradowała Rzeczpospolitej.

Nowogrodzka podjęła próby, przynajmniej w publicznym anonsie, pozaurnowego powiększania parlamentarnego stanu posiadania. Bezwstydnie ogłosiła alert w sprawie wzbogacenia swoich senackich aktywów. Środki zmierzające do tego celu nie mają ograniczeń i bratają się z makiavelizmem (Niccolo Machiavelli 1469-1527) oraz jego pojmowaniem racji państwa przy zastosowaniu bezwzględnych sposobów jej osiągania, czego powszechnie znanym synonimem jest: cel uświęca środki. U nas nadal otwartym problemem pozostaje zdefiniowanie polskiej racji stanu. Politycy w niezliczonych publicznych wypowiedziach przepuszczają tę słowną konstrukcję przez pełnię deklinacji, ale nie wnikają w jej merytoryczną zawartość, tak ważną dla kraju i społeczeństwa. Okazuje się, że trudne sprawy zwykli zostawiać potomnym, a bieżące niepowodzenia obłudnie usprawiedliwiać czynami wstępnych (pojęcie wydarte z prawa cywilnego), tj. poprzedników rządzących, tak, jakoby dzisiejszych zwycięzców wówczas nie było w kraju. Nachalne nadużywanie zawołania, że winnymi własnej niemocy i błędów są inni, wyzwala stany wymiotne. Dzienne partyjne komunikaty płynące z gardeł politykierów w tym zakresie są tożsame z polityczną nieroztropnością. A może jest to kamuflaż, który za chwilę rozbłyśnie sukcesem, ot takim na krajową i światową miarę, po to, aby po niewczasie spowić się klęską. Fatalny to patent na narodowe marzenia, ale i to nie będzie pierwszyzną w naszej historii.

Konwersja proporcji liczebności deputowanych o partyjnym naznaczeniu w Senacie jest problemem dla rządzących. Aby przeważyć szale na korzystny dla siebie wskaźnik nieroztropnie naoliwili hamulce, tylko po to, aby nieuczciwym ślizgiem osiągnąć absolut. Jeśli tak się stanie, to żałość winna ogarnąć wszystkich wyborców, a szczególnie tych, którzy oddali głos na sprzeniewierzających się elektorów. Pierwsze posiedzenie Senatu zneutralizowało obawy i co więcej wzmogło ufność do większości w nim zasiadającej. Trend nader pozytywny i trzeba mu życzyć stabilizacji.

Inicjacje w sprawie ponownego przeliczenia senackich głosów tam, gdzie prawa i sprawiedliwa partia przegrała można jedynie interpretować w kategoriach prawniczego dyletanctwa. Argumentacja wicemarszałka Sejmu, co do konieczności wtórnego porachowania głosów w wybranych okręgach wyborczych i to przypadkowo w tych, gdzie kandydaci rządzącej partii nie zdobyli mandatów, ot tak dla ciekawości, jest dziecinnie fascynujące i może zrobić furorę, ale co najwyżej u cioci na imieninach (z szacunkiem dla cioć). Od prominenta władzy, w tym

przypadku wicemarszałka Sejmu i szefa sejmowego klubu zjednoczonej prawicy z profesorskim tytułem, oczekuje się rzeczowych uzasadnień i poważnego trybu informowania elektoratu, a więc pracodawcy, dzięki któremu okupuje on poselski stolec. Lekceważenie dziennikarzy przez wybrańców ludu jest tożsame z ignorowaniem suwerena. Nie sposób tego wytłumaczyć, usprawiedliwić, doszukać się dobrych intencji. Legitymacja poselska, ministerialna etc., to nie certyfikat na mądrość i arogancję, ale tylko chwilowa wizytówka, z której należy miarkowanie, a nie opryskliwie korzystać. Dobro publiczne (publico bono) jest priorytetem. Pogarda dla tej oczywistości, to domena dyletantów, a jeśli tak, to Rzeczpospolita będzie się rysowała jako kraj politycznego chciejstwa zbratanego z niemocą wobec podejmowania czynów na rzecz wzmacniania jej powagi. Pustosłowie sprawiające wrażenie autentyzmu zazwyczaj sąsiaduje z nieuczciwością, której zasoby są niemierzalne, dając asumpt do bagiennego taplania się w niej i to nierzadko w smokingowym stroju. Ułańska fantazja potrafi się zachwycać nawet tak kompromitującymi czynami.
Kwestionowanie wyników wyborów w demokratycznym państwie, kiedy zostały dochowane wszelakie procedury zabezpieczające poprawność głosowania i ustalania ich wyników, łącznie z międzynarodowym nadzorem, koliduje z interesami wszystkich partii politycznych, biorących udział w tym procesie. To także policzek dla tysięcy społeczników – członków komisji wyborczych, będącymi przedstawicielami różnorakich opcji politycznych, a teraz w niezdrowym, chciejskim trybie stali się podejrzanymi o rzekomo przemyślane malwersacje. Na zmaterializowanie owej podejrzliwości dowodów brak. W tym przypadku zastąpiła je czcza gadanina. Karty do głosowania, te puste (ok. 72% wszystkich głosów nieważnych), jak i z wadliwymi skreśleniami, to także wola wyborców, a nie urojone akty fałszerstw rzekomo dokonanych w poszczególnych komisjach. Pomyłki w liczeniu głosów są ludzką rzeczą, lecz w demokracji nie one ważą na rezultatach głosowania. Na szczęście Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego nie podzieliła obiekcji partii rządzącej, mimo że sędziowie tej Izby, to osoby wskazane przez upolitycznioną Krajową Radę Sądownictwa (KRS), której status jest m.in. przedmiotem wyrokowania Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Co więcej prezesa Rady dosięgły dyscyplinarne zarzuty ze strony tej Izby za jego wcześniejsze służbowe sędziowskie przewiny (m.in. opóźnienia w sporządzaniu uzasadnień do wyroków przez niego ferowanych). Sędziowie orzekający w sprawach protestów wyborczych, jak dotąd, stąpają wedle litery prawa. To promyk optymizmu, a może i okazja do uwiarygodnienia swojej niezawisłości. Jakby tego nie roztrząsać, to w ostatecznym rozrachunku mocy nabierają wyroki, których wykonywanie jest świętością, zaś ich lekceważenie profanacją państwa prawa z widokiem dramatu. Nieszczęściem jest to, że patronat nad tym objęli rządzący, tryskający hasłami o prawie, sprawiedliwości, narodowym pojednaniu etc.

Po co to wszystko?

Ugrupowania polityczne, niemal w komplecie mają na swoich sztandarach wyhaftowane zawołania o Bogu, honorze, dobru ojczyzny, ale drogi dochodzenia do tej idylli tworzą już bitewną arenę ze wszystkimi jej konsekwencjami. Zacietrzewienie polityków i ich małostkowe ambicje biorą górę nad strategicznymi wyznacznikami osiągania nakreślonych celów ważnych dla Rzeczpospolitej. Wyniki obserwacji zachowań wodzów partii rządzącej i niektórych opozycyjnych również, nie sugerują koncyliacyjnego zbliżenia i zawarcia pokojowego paktu. Idealistyczne hasła najczęściej pozostają bez realnych czynów. Ostatnia wyborcza batalia wzmocniła rozterki. Ich natężenie może byłoby mniejsze, gdyby cały naród włączył się w

program budowy nowego społeczeństwa wedle nowogrodzkiej instrukcji. Nie ten czas, nie te wewnętrzne i międzynarodowe okoliczności, a już na pewno do tego nie zachęca program prawej i sprawiedliwej partii w jego realizacyjnym kształcie. Podobne tendencje w ujednolicaniu myślenia wedle wzorców jedynej partii były już dominantą w powojennych czasach. Wówczas nie odnoszono sukcesów na miarę możliwości wygospodarowanych w obszarze politycznego nadzoru zafundowanego nam decyzjami Wielkiej Trójki, a więc przez Zachód i Wschód. Wydawałoby się, że demokratyzujące czyny przełomu lat 80/90. poprzedniego wieku ostatecznie zdezawuowały tamte autokratyczne tendencje, które nie zawsze były własną wolą wówczas sprawujących władzę. Tak się nie stało i dzisiaj ponownie obserwujemy pokusy ku autorytarnym czasom. Oferta Nowogrodzkiej w stylu pomożecie nadal aktualna. Powojenny przedział historii kraju, to przecież podwalina dnia dzisiejszego, no może poza niektórymi ideologicznymi utopiami i opryskliwym stosunkiem do obywatelskiej swobody, ale taka była cena powojennej wolności. Z drugiej strony okazuje się, że żadnej z Rzeczpospolitych, jakbyśmy je nie numerowali, nie sposób odgrodzić, nawet najsolidniejszymi wierzejami, od następnej. Na to nie pozwala osmoza zwyczajów, zachowań, pragnień, wspólnych doświadczeń, pokoleniowych narodzin etc.

Nie ma recepty na czynienie czegoś od nowa, zatracając dorobek poprzedników. Takie są prawidła społecznego rozwoju. Następcy tkwią w objęciach poprzedników mimo zaklęć o sterylności wobec nich. Jest to tylko czcza gadanina, bo ciągłość państwa i narodu jest odporna wobec politykierskiego chciejstwa. Nie sposób przecież zniwelować dokonań PRL-u i III RP, ale i wcześniejszych również w imię aplauzu dla sztampowych oracji prezesa z Nowogrodzkiej. Jeśli w tym trybie mamy rozprawiać się z przeszłością, to przyszłość jawi się tragiczna. Nie sposób wyzerować poprzednie Rzeczpospolite. Przy tak nonszalanckich próbach, to i klawisz komputerowego entera popada w techniczne turbulencje.

Promykiem nadziei w łagodzeniu obrazoburczych tendencji może okazać się lewicowy poselski wsad w parlamentarne gremia. Trudna to misja, ale z szansą na powodzenie. Społeczna akceptacja dla tych formacji jest faktem, chwilowo skromnym, ale z dużym potencjałem. Chodzi o przełożenie zwrotnicy na pojednawcze tory, tak w obrębie polskiej redy, jak międzynarodowych akwenów. Dzisiaj w rządowej rozdzielni miast decyzji o bezkolizyjnych relacjach, górę biorą partyzanckie rozkazy wyburzania pojednawczych przystani. Kiedyś w bitewnych czasach niektóre z nich uchodziły za bohaterskie, współcześnie trącą nieroztropnością.

Dlaczego tak się dzieje i to po tragicznych przejściach Rzeczpospolitej, chociażby w minionym stuleciu. Odpowiedź jest prosta. Rządzący obóz nie chce się dzielić władzą i unika publicznej debaty o kierunkach rozwoju państwa. Stłamsił sejmową debatę i przeniósł ją na uliczny bruk, a racjonalne postulaty opozycji w zawziętości lekceważył. Duże zasługi na tym polu odniósł marszałek Sejmu poprzedniej kadencji, który wbrew nieprzychylnej ogólnopolskiej społecznej opinii, w swoim podkarpackim mateczniku niemal podwoił własny elektorat w ubieganiu się o poselską gażę. Fascynujący to materiał dla socjologa, także tego pełniącego funkcję ministra od kultury. Emocje nie zawsze służą budowaniu dobra. Jedno jest pewne, że reakcje społeczeństwa na zarządzanie państwem mają określoną siłę sprawczą, której lekceważenie jest równoważne z samozatraceniem. Ich pokojową oznaką są zapisy deponowane w wyborczych urnach. Ten demokratyczny przywilej warunkuje plenipotencję wygranych, ale nie upoważnia do arogancji wobec odmiennych skreśleń. Niepokoi to, że dotychczasowy impertynencki trend sprawowania władzy zostanie dochowany, a więc nic nowego pod słońcem (nihil novi sub sole). Może następnym razem będzie dojrzalej, ale czy kraj stać na tak

ekstensywną czasową rozległość nurzania się w niemocy?
Nie da się skutecznie zarządzać demokratycznym państwem wedle egoistycznej wizji chwilowego partyjnego prymusa. Natomiast bagatelizowanie głosów społeczeństwa i jego sejmowej emanacji w formule opozycji roztacza wizję nieprzychylną rządzącym, a to musi się spotkać z odporem władzy, której argumenty i czyny nie opuściły mentalności dawnych koszar. Dzisiaj krajowi decydenci stąpając po chybotliwej linie bezceremonialnie ignorują zarówno ubezpieczający balast jak i społeczne demokratyczne podpórki. Perspektywa finału takiej ostentacji musi niepokoić. Kilka głosów parlamentarnej przewagi nie upoważnia do demolowania instytucji państwa modelowanego przez lata wedle demokratycznych reguł zaaprobowanych okrągłostołowymi ustaleniami. Wówczas być może nie były doskonałe, ale na przestrzeni lat racjonalizowane. Modernizacyjne wstrząsy, aplikowane przez rządzących, chciejstwem wypełnione, ubliżają roztropności tamtym negocjatorom, wśród których był także animator dzisiejszej polityczną sceny, który neguje swoją dawną roztropność. Dostrzeżone błędy należy korygować z wyłącznikiem politycznego zacietrzewienia. Na to nie stać rządzących, bo racja musi być zgodna z ich wyobrażeniami, a nie pragnieniami obywateli. Koncyliacyjne alianse zawsze są w cenie pod warunkiem, że samolubność zbliży się ku szczerej otwartości. Wydaje się, że przyszłość Najjaśniejszej jawi się w zamglonej perspektywie.

* * *

Zwycięską prawą i sprawiedliwą partię boleśnie kłuje powyborcze rżysko. Dlatego też intensywność łagodzenia tej nieprzyjemności stała się zawołaniem chwili w partyjnej egzystencji. Paleta sposobów potencjalnego mnożenia parlamentarnych szabli, uwiodła rządzących usiłujących łagodzić powyborczą depresję. Odrażający to zabieg w wydaniu deputowanych tej formacji. Cynizm takich zachowań jest zaledwie łagodną definicją zabiegania przegranego o pokonanie zwycięzcy podstępnymi metodami. W tym punkcie chrześcijańskie kanony poszły w las, a przecież premier rządu ma chrystianizować Europę. Dekalogową nieuczciwością jest styl zamiaru powiększenia parlamentarnych zasobów, wbrew woli suwerena, którą oznajmił przy wyborczej urnie. Ta i inne sytuacje to ważkie argumenty przemawiające za potrzebą wmontowania bezpieczników do prawa wyborczego, głównie po to, aby ograniczyć do minimum polityczną sprzedajność, a głosujący na swego wybrańca, reprezentującego określoną opcję nie pozostawali bezradni i mieli egzekutywę wobec sprzeniewierzonych posłów do pozbawienia ich mandatu włącznie. Mnożą się głosy w tej tonacji, a to ważki powód do poselskiego zastanawiania się nad tą ułomnością.
Dylematem pozostaje kwestia statusu posłów, którzy obejmują rządowe stanowiska. W tym momencie następuje przemieszanie władzy wykonawczej z ustawodawczą, co wedle idei ustawy zasadniczej jest konstytucyjnie wątpliwym rozwiązaniem. Projektowanie przepisów prawa przez rząd i jednoczesne poselskie uczestnictwo ministerialnych nominatów w stanowieniu własnych pomysłów i ich wdrażaniu jest bliskie zwyrodniałej osmozie, niwelującej demokratyczną konstytucyjną trójpolówkę. Na marginesie tego warto wskazać, że zrzucanie na karb jednej osoby dwóch odpowiedzialnych funkcji: posła i ministra jest zagrożeniem dla solidnego wypełniania przez nich powinności przypisanych do tych stanowisk, bo to praca na dwóch etatach, a może i więcej, co już zaczyna współgrać z jakościową mizerią funkcjonowania w tych rządowo-parlamentarnych przestrzeniach. Jeśli poselskie i rządowe sprawy mają załatwiać doradcy i pracownicy biur poselskich, a to już rozwiązanie uwłaczające elektoratowi.

Janina Łagoda